

A man with grey hair, wearing a dark blue jacket and jeans, sits on a wooden chair in a lush green garden. He is smiling and looking at an open book in his hands. The garden is filled with numerous other open books scattered on the ground. In the background, there is a two-story brick building with several windows. The text is overlaid on the left side of the image.

Mój największy kompleks? Nie mówiłem po polsku. W domu, z kolegami rozmawiałem śląską gwarą. Po latach profesor Jan Machulski powiedział, że śląskość była czymś, co mnie pozytywnie wyróżniało.

< TAM SŁYSZĘ ZEGAR

Piotr Polk

Kalety, czyli... śląskie miasteczko, które – gdy tam mieszkałem – liczyło siedem tysięcy mieszkańców. Wychowałem się w ogromnym domu z ogrodem. W tym samym domu się urodziłem, w dużym pokoju, na jadalnym stole. U nas dzieci rzadko przychodziły na świat w szpitalu. Od kiedy pamiętam, wpajano mi, że życie składa się z narodzin i śmierci. Nigdy nie byłem przed nią chroniony. Dziadkowie, ojciec umierali w domu, a ja w tym uczestniczyłem. To mnie nauczyło nie bać się tego, co ostateczne. Zasady przekazywał tata, jemu zawdzięczam moralny kręgosłup. Mówił: Możesz sobie być aktorem, muzykiem, piłkarzem, ale jak przyjdą, chłopie, ciężkie czasy, trzeba mieć konkretny fach. Rosłem więc w przekonaniu, że mężczyzna powinien być odpowiedzialny. I tak zostałem technikiem elektrykiem, ale skończyłem też szkołę muzyczną.

LEPSZE PODUSZKI

Ojciec często wyjeżdżał, był inżynierem, budował kolejki linowe w Alpach. Wracał, opowiadał, a ja wyobrażałem sobie ten inny świat i czułem nieprzepatą chęć podróżowania. Znałem Kalety na wylot, każde drzewo i ławkę. Nie miałem zamiaru zostawić tego miejsca, zapomnieć o nim. Chciałem prysnąć w świat z czystej ciekawości. Dzisiaj myślę, że znaczenie miało to, co kiedyś usłyszałem od taty. Na Śląsku panuje zwyczaj związany z poduszkami. W domu jest podział na zwykłe poduszki do spania i te lepsze – z pięknego materiału, ozdobne, układane reprezentacyjnie na łóżku. Kiedyś ojciec powiedział: „Człowiek umrze, a na tych dobrych poduszkach się nie wyśpi”. Zapamiętałem to. Dlaczego całe życie tylko o czymś marzyć, zamiast to po prostu zrobić? Wtedy postanowiłem ruszyć z Kalet. Ale najpierw nauczyć się angielskiego. Moja rodzina mówiła w domu po niemiecku.

Babcie, dziadkowie, również rodzice, kiedy nie chcieli, żebyśmy my, dzieci, ich rozumieli, przechodzili na ten język. O kursach angielskiego w Kaletach nikt nie słyszał. Na szczęście miałem dostęp do biblioteki publicznej. Były tam cztery numery „National Geographic”. Kiedy miałem siedem lat, wypożyczałem je na okrągło. Rodzice kupili mi słownik i codziennie, kawałek po kawałku, tłumaczyłem teksty z gazety. Chodziłem też do kina na angielskie filmy, bo amerykańskich było mało. Czasem nie byłem w stanie wytłumaczyć matce, dlaczego trzeci czy czwarty raz proszę ją o pieniądze na bilet na ten sam film. Chodziłem, żeby słuchać języka. W efekcie zdałem angielską maturę. A potem postanowiłem zostać aktorem, co w Kaletach wydawało się pomysłem z kosmosu.

SMAK PORAŻKI

Pierwsza próba była bolesna. W Tarnowskich Górach zorganizowano zdjęcia próbne do filmu o Śląsku. Potrzebny był chłopak w wieku 9–12 lat. Postanowiłem spróbować, ale usłyszałem od sąsiada, że nie mam szans. Pojechałem i... przegrałem. Poczulem się tak, jakby mnie ktoś podłączył do agregatu, który wyzwolił napięcie miliona voltów. Musiałem udowodnić, że się dostanę się do łódzkiej Filmówki. Porwałem się na zawód, w którym podstawowym narzędziem jest język polski. A przecież przez 20 lat mówiłem gwarą. Polskiego używaliśmy tylko przez 45 minut na lekcji polskiego. Uczylem się więc polskiego dodatkowo. Musiałem poprawiać

„pochylone”, „spłaszczone” samogłoski, odczytać się mówienia gardłowego. Ale i tak nie pozbyłem się akcentu zupełnie.

W najważniejszym momencie wyboru drogi życiowej umarł mój ojciec. To był rok psychicznej gehenny. Choroba nie dawała szans, a ja codziennie tej szansy szukałem i widziałem ją, bo tata uśmiechnął się, zjadł trzy posiłki. To ja ojca golilem, karmiłem. Męska rzecz. Kiedy odchodził, poprosił, żebym zaopiekował się mamą. Jak w tej sytuacji zdawać do szkoły aktorskiej? Z pomocą przyszła matka. Powiedziała, że mam podejść do egzaminów, inaczej przez całe życie będę miał do siebie żal, że nie spróbowałem.

Mogłem jechać. Poświęciłem sporo – miłość do dziewczyny, rodzinę, miejsce, w którym się wychowałem. Ruszyłem w świat, którego nie znałem. I to nie było łatwe. Dzisiaj, mając 54 lata, mogę powiedzieć, że nic tak nie uczy życia jak potężne uderzenie dupą o beton.



DUŻA POKORA

Kompleks? Przede wszystkim językowy. Słyszałem, jak mówią koledzy, próbowałem tak samo, ale mi nie wychodziło. Z tego powodu się wycofywałem. Byłem jednak pracowity, nie poddawałem się. Po latach profesor Jan Machulski powiedział, że śląska inność była czymś interesującym, wyróżniała mnie. Wtedy tego nie wiedziałem. Przeżyłem zachłyśnięcie wielkim miastem. Łódzkimi kawiarniami, teatrami – to mnie trochę oszałamiało. W Kaletach było jedno kino Rusalka. Aktora widziałem, gdy przyjechał teatr nie wiem skąd i w dodatku aktor nie był specjalnie trzeźwy. A w Filmówce nagle artyści z najwyższej półki na wyciągnięcie ręki. Nie odbiła mi palma, że oto jestem studentem szkoły aktorskiej. Fakt, byłem wybrańcem, szesnastym na liście spośród może tysiąca zdających, ale z małego miasta wyniosłem pokorę. Na zajęciach w wielkiej auli siedziałem więc w 94. rzędzie, z tyłu pod ścianą. Koledzy byli obcy, wszyscy o dwa, trzy kroki przede mną. Ja wiele rzeczy

robiłem pierwszy raz, czasem się gubiłem. Prozaiczna rzecz – komunikacja miejska. Numery tramwajów, nazwy dzielnic, to była abstrakcja. Z czasem wszystko opanowałem, miałem wielką wolę walki. Poza tym szybko zadomawiam się w nowych miejscach. W rodzinnym mieście nie mieszkam już 40 lat.

POWROTY

Czasem przyjeżdżam tam po cichutku odpocząć, posiedzieć z mamą. Z premedytacją zjawiam się późno, żeby nikogo nie spotkać, ale rano wszyscy w rodzinie wiedzą, że jestem. W Warszawie można by człowieka wynieść z dobytkiem, a sąsiad i tak nie zauważy. W miasteczku nic się nie ukryje. Tam słyszę zegar, w stolicy nigdy. Mam wrażenie, że jest z nim coś nie tak, bo przecież tak wolno sekundnik nie chodzi. W Kaletach czas ma inny wymiar, nie rządzi ludźmi. Tylko dla mnie ma znaczenie, czy 24 lutego w przyszłym roku to będzie środa, czy piątek. Bo ja mam terminy. W miasteczku „pilne terminy” nie istnieją. W niedzielę po mszy życie na ulicach zamiera. My też siedzimy w ogrodzie, pijemy piwo, rozmawiamy. Telewizor jest wyłączony, telefony leżą daleko. To ja się dziwnie zachowuję, bo kładę komórkę na stole. Mój dom rodzinny się zmienił. Gdy byłem mały, mieszkała tam także siostra, dziadkowie. Teraz, kiedy została tylko matka, zrobił się ogromny. Różnicę widzę też w drzewach. To, które ojciec sadził, kiedy szedłem do komunii, ma dziś ponad 14 metrów.